

Wojciech Stanisławski: Dzika różyczka

Róża Luksemburg jest ważną postacią w historii socjaldemokracji europejskiej, w intelektualnych dziejach marksizmu – i w przeszłości Niemiec. Czy to wystarczające racje, by z myślą o turystach i entuzjastach przeszłości umieścić na ścianie zamojskiej kamienicy tabliczkę informującą o narodzinach 5 marca 1871 dziewczynki, córki Edwarda Luxemburga i Liny Löwenstein?

„Potem, kiedy prawdę mówiąc było już za późno, najróżniejsze instytucje opracowały rysopisy owego człowieka” nieco obłudnie wzdycha, jak pamiętamy, narrator „Mistrza i Małgorzaty”, wspominając próby ujęcia cudzoziemskiego konsultanta, który przepowiedział śmierć literata Berliozą. I podobnie zadumać by się można nad zamieszczeniem, które towarzyszyło próbom umieszczenia, przemieszczenia, ostatecznie zaś – nieumieszczenia tablicy poświęconej Różie Luksemburg w jej rodzinnym Zamościu.

Najpierw, pod koniec lutego, zapowiedziano poświęconą dorobkowi i myśli Róży konferencję, która miała zostać zorganizowana wspólnymi siłami władz Zamościa oraz fundacji imienia rewolucjonistki; fundacji założonej i czynnej w Niemczech, od kilku lat jednak posiadającej swój oddział w Polsce. Od początku nie było do końca jasne, jak duży miał być udział ratusza, czyli pochodzących z wyboru władz miasta; od początku usiłowano połączyć wątki komemoracji, debaty naukowej, laudacji i rozszerzenia oferty informacyjnej dla odwiedzających Zamość

turystów. Później jednak włączyły się w sprawę kolejno: IPN, Partia Razem, Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej, Konfederacja Korony Polskiej, liczne tytuły prasowe – i już wiadomo było, że Róża nie zazna spokoju. Ostatecznie, jak się wydaje (wiele stron i wpisów widocznych jeszcze kilka dni temu znikło jak zaczarowane) konferencja odbyła się, tablica, wobec protestów, nie została wmurowana, lecz stanęła na tymczasowej sztaludze. Żaby, jakie przy tej okazji musiały spożyć władze municypalne, z pewnością uświetniłyby każdą ucztę Jana Sobiepana Zamoyskiego, który rad hołdował francuszczyźnie.

Róża jest oczywiście wymarzoną bohaterką kontrowersji, a jej postać na lewicy ceniona była zawsze za radykalizm i męczeńską śmierć. Łatwo ją czcić, bo przecież nie miała okazji sprawować rzeczywistej władzy politycznej, nie spoczywa więc na niej w odróżnieniu od ogromnej większości działaczy z jej pokolenia, żadne odium za zbrodnicze rządy. A jednocześnie to wszystko, co stanowi o bizarności jej postaci – stanowczość i ostrość wypowiedzi, niechęć do patriarchy w każdej postaci, rozwichrzone życie osobiste, zafascynowanie Naturą i występowanie w obronie zwierząt, „intersekcjonalność” jej protestów, maksymalizm przekonań – wszystko to czyni ją wymarzoną patronką dla nowej lewicy i trudno się dziwić, że autorką jej niebanalnej biografii („Domem moim jest cały świat”, Wydawnictwo Marginesy, 2025) jest pierwsza, wieloletnia naczelna „Wysokich Obcasów”, Weronika Kostyrko.

Przeczytaj również: Czerwone granice międzynarodowej polityki – felieton Marka A. Cichockiego

Oczywiście, znane jest stanowisko Róży w debatach nad odzyskaniem niepodległości przez Polskę: w sporach na lewicy sprzeciwiała się niepodległościowej linii PPS, czy to w szeregach Socjaldemokracji

Królestwa Polskiego i Litwy, czy to w niemieckiej SDP, w której namiętnie zwalczała reformistów Eduarda Bernsteina. Fatalnie brzmi słynne zdanie „Proletariat musi się odwrócić plecami do programu odbudowania Polski” – tyle, że wynikało ono z jej spekulacji teoretycznych i nie przekładało się na praktykę! Owszem, w latach rewolucji 1905 roku pepesowcy i esdecy byli sobie wrodzy – ale przecież nie tak, jak pepesowcy i narodowcy, otwierający do siebie nawzajem ogień, co nie przeszkadza dziś w traktowaniu z uznaniem wielu działaczy Narodowej Demokracji.

Mówiąc wprost: działalność Róży Luksemburg „sprawie polskiej” jakoś specjalnie nie zaszkodziła. Jej mocno spekulatywny sprzeciw wobec idei niepodległości Polski ma marginalne znaczenie w jej dorobku. Jest ważną postacią w historii socjaldemokracji europejskiej, w intelektualnych dziejach marksizmu – i w przeszłości Niemiec.

Czy to wystarczające racje, by z myślą o turystach i entuzjastach przeszłości umieścić na ścianie zamojskiej kamienicy tabliczkę informującą o narodzinach 5 marca 1871 dziewczynki, córki Edwarda Luxemburga i Liny Löwenstein? Sądzę, że tak, wydaje mi się nawet, że trochę nie mamy innego wyjścia w tej części Europy, gdzie żmut języków i narodów spleciony był najściślej. Nie przeszkadza nam tablica na Uniwersytecie Wrocławskim przywołująca pamięć Fritza Habera, urodzonego w mieście nad Odrą zdobywcy Nagrody Nobla z chemii, i to mimo jego wkładu w stworzenie gazów bojowych, dziesiątkujących żołnierzy Ententy podczas Wielkiej Wojny. Mamy w Jagińtkowie muzeum innego niemieckiego noblisty, zmarłego tam Gerarda Hauptmanna, a w Warszawie, co szczególnie może cieszyć,

ulicę urodzonego tu Osipa Mandelsztama. Żaden z nich nie angażował się w sprawę niepodległości Polski, wszyscy mocno osadzeni są (osadzili się) w innych kulturach i tradycjach.

Czy, biorąc pod uwagę delikatność sytuacji, graniczny status Róży – jej wypowiedzi, zaangażowania, wciągnięcie jej w rytuały i kultury środkowego i schyłkowego PRL – należało w sprawę tablicy angażować władze miasta? Niekoniecznie; naprawdę wystarczyłoby, sądzę, miejscowe biuro informacji turystycznej. Fundacja też dałaby radę zorganizować konferencję na własną rękę, ma po temu środki.

Zamiast tego doczekaliśmy się pasztetu i protestów, przemówienia dr. Achima Kesslera, przewodniczącego przedstawicielstwa Fundacji Róży Luksemburg w Polsce, który stwierdził, iż „Niemcy przez stulecia wyrządzali Polakom straszliwe krzywdy. Do nich należy również mord na Róży Luksemburg” oraz wypowiedzi Weroniki Kostyrko, która uznała, że „przeciwnicy polityczni atakowali ją za to, że była kobietą, osobą z niepełnosprawnością, i że była Żydówką” – co, jak widać, stało się formułą powtarzalną. Doczekaliśmy się pokrzykiwań Roberta Bąkiewicza – i perspektywy rokrocznych przepychanek pod narożnikiem, że tablica miała zawisnąć / nie zawisła / kiedyś zawiśnie. Nader to nużące. Jeśli cokolwiek może w tej sytuacji stanowić zadośćuczynienie – to szeroko krążące po sieci zdjęcie red. Romana Kurkiewicza, który stawiał się na zamojskiej sesji naukowej i zapozował do zdjęcia przy portrecie Róży ze stylonową czerwoną flagą i z przecinkiem koziej bródki, tak wspaniale upodabniającym go do Michała Kalinina. Trolling ma w Polsce ogromną przyszłość.

Wojciech Stanisławski

Przeczytaj również: inne felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”